

mnie zauważona gdzieś klepsydra. W holu minąłem Sabinę i wszedłem do naszego mieszkania. Ogotiłem się, wziąłem kąpiel, przebrałem i spakowałem do podróżnego worka. Zmieściło się wszystko, bo moich rzeczy było niewiele. Pamiętałem o pieniądzach. Zabrałem wszystkie, natomiast na widocznym miejscu zostawiłem obrączkę. Po raz ostatni ogarnąłem wzrokiem pokój, po czym zszedłem na dół. Rodzice byli w gabinecie ojca.

– Chciałem się pożegnać – powiedziałem – i podziękować za wszystko, za czas spędzony w państwa domu. Zabieram rzeczy osobiste i pieniądze, które dostaliśmy z Ewą od kilku osób w prezencie ślubnym. Oddaję klucze. Do widzenia!

Zamykając furtkę, spojrzałem jeszcze na dom, po czym ruszyłem na dworzec. Życie musiałem organizować od nowa.

To było warszawskie Stare Miasto, ławeczka na ścieżce biegnącej górą skarpy, nieopodal gotyckiego kościoła. Gdy przyjechałem do Warszawy, po pozytywnym załatwieniu spraw na uczelni byłem tak szczęśliwy, że postanowiłem powłóczyć się po mieście i po prostu zablądzić. Już szarzało, gdy znalazłem tę ławeczkę. W trakcie wędrówki otarłem nogi, więc przysiadłem, chcąc im ulżyć, i niemal natychmiast usnąłem. Ławka jednym ze swych końców była wepchnięta pod rozrośnięty krzak, który nocą spełnił rolę osłony. Nad ranem obudziło mnie przenikliwe zimno oraz krople rosy kapiące na twarz. Zaskoczony sytuacją, w której się znalazłem, rozgrzewałem skostniałe ręce, myśląc o tym, że powinienem zaliczyć siebie do szczęściarzy. Słyszałem od kogoś, że nad Wisłą warszawscy złodzieje nocami „sprzedają cegłę”, a mnie przecież nic się nie stało, nawet nie nabito mi guza, oraz że wciąż mam zabrane z Krakowa niemałe pieniądze. Uspokojony rozejrzałem się. W dole leniwie płynęła Wisła miejscami przykryta mgłą. Nigdy nie zrobiła na mnie takiego wrażenia jak wtedy. Patrzyłem na rzekę ciekawym wzrokiem, ale najbardziej podziwiałem wylaniające się z mgieł wschodzące słońce, które nieśmiało oświetlało mi twarz i próbowało ogrzać.

W Warszawie prowadziłem zwykłe studenckie życie. Czasami udawało mi się dorobić do stypendium, ponieważ pieniądze przywiezione z Krakowa starałem się trzymać na czarnej godzinie. Kontakt z rodziną nie utrzymywałem, bo i o czym miałem im pisać, przecież nic znaczącego się nie działo. Leszek nie poszedł na studia. Zamieszkał z Kostkiem. Na podwórku budynku wspólnie uruchomili nieduży warsztat stolarski, który z czasem zaczął przynosić niezły dochód. Kiedyś wysłałem Leszkowi kartkę, że przenieśliem się do stolicy. Podałem nowy adres, na który przysłał zawiadomienie o ślubie. Tak pojawił się powód, bym zawiątał do Gdańska.

Przyjechałem na Wybrzeże po czterech

latach pobytu w Krakowie i trzech w Warszawie. To kawał czasu. Stare ścieżki prowadzące ze stacji przemierzałem z przyjemnością. Do domu wszedłem cichutko, licząc, że niespodzianka wywoła radość mamy, tymczasem patrzyła na mnie stojąca na środku pokoju Marysia. Milczała. – Co tak stoisz jak skamieniała? Nie przywitasz się? – powiedziałem. – No cóż! Dzień dobry! – mruknęła i weszła do pokoiku, który kiedyś był moim pokojem. – Co uciekasz? Gdzie mama? – zdążyłem zapytać, zanim zamknęła drzwi.

W tej sytuacji pokręciłem się trochę po mieszkaniu, wypilem jakiś sok, zdjąłem buty, położyłem się na tapczanie i zasnąłem.

Obudziło mnie szarpnięcie. Usłyszałem: – Wstawaj! – Spojrzałem niezbyt przytomnie. Nade mną stał ojciec, który powtórzył: – Wstawaj i oddaj klucze! – Usiadłem. – Mam w marynarce, a o co chodzi? – Ojciec zdjął marynarkę z oparcia krzesła. – W tej? – zapytał i rzucił mi ją. – Klucze! – powtórzył, wyciągając rękę. Podałem je i dopiero wtedy zauważyłem wpatrzoną matkę i siostrę. Chciałem jeszcze zapytać, co się dzieje, ale ojciec nie dał mi takiej szansy. Powiedział: – A teraz wyjdź i zapamiętaj, że to już nie jest twój dom.

– Ale, tato... – próbowałem podjąć rozmowę, lecz on krzyknął „wyjdź!” i łapiąc mnie za koszulę, wypchnął przez otwarte drzwi na wspólny z Kurowskimi przedpokój. Upadłem, uderzając ręką o brzeg stojącego pod ścianą stolika. To wtedy stłukłem w zegarku szkło.

W trakcie rozmyślań dni i noce splątały się. Być może momentami byłem w półśnie, a może miałem gorączkę. Umysł, podsuwając przed oczy elementy dawno zapomnianych zdarzeń, zaczął bawić się ze mną w zgadywanek, jakby chciał sprawdzić, czy je rozpoznam i czy są wśród nich te, które wciąż coś ważą. Znalazłem się w świecie obrazków wyrwanych z kontekstu, wśród zaskakującego zestawu drobiazgów z mego życia – czyjaś dłoń, chybotający na wietrze liść, jakieś rozsypane guziki, zablocony but czy kosz pełen ziemniaków. Część z nich stała się niemal obca, rozpoznawalna z trudem, a przecież z nich tworzyłem mój świat, to były moje odkrycia i zadziwienia. Kiedyś wszystko mnie ciekawiło, a teraz wolałbym zapytać, co niezwykłego ukrywały detale? Dojrzały człowiek już nie chce zastanawiać się, dlaczego ogromna, różowa ćma, której bardzo długo się przyglądałem, przykuła moją uwagę albo dlaczego ponad godzinę obserwowałem płynącą w strumieniu wodę. Czas wszystko zmienił. Przychodzi dzień, gdy detale nie mają znaczenia, gdy chce się zobaczyć życie z ogólnej perspektywy.

Zastanawiałem się, czy te przypomnienia, zbliżenia minionych chwil mogą dziś cokolwiek znaczyć? A wtedy? O czym mnie informowały, o jaką wartość chciały wzbogacić moje życie? Wylaniały się pytania, dużo

pytań, wśród nich myśl: „Czy to ważne?! Czy kiedykolwiek było ważne?”

Przesuwając wzrok po ścianach i meblach, powoli otrząsałem się ze stanu półsnu, półjawy. Rozmyślenia z trudem powracały w sensowniejsze rejony. Przez chwilę byłem zapytrony na leżący nieopodal prezent od ojca, na zegarek, i pytałem siebie: – Po ilu latach zaniósłem go do zegarmistrza? Po pięciu? Nie! Po siedmiu, może po ośmiu. No tak, bo przecież na początku zżerała mnie złość, a najbardziej wściekałem się na Marysię. Nie wiem, dlaczego na nią. Próbowałem dociec, dlaczego jej nie lubię? Czemu nigdy jej nie lubiłem? Musi być jakiś powód, myślałem.

Zjadałem kolejne jabłka, poprawiałem opadające, źle dopasowane okulary i wciąż gapilem się na zegarek.

Miałem kiedyś przyjaciela, był nim Karol, ale nie cenilem przyjaźni. Chciałem gdzieś biec, coś osiągnąć. Gdy dostrzegłem nędzę, w której rosłem, chciałem przede wszystkim od niej uciec, więcej, chciałem zostać kimś znaczącym. Dziś wiem, ile mu zawdzięczam, ale wtedy był dla mnie tylko kolegą z klasy i chłopcem z bogatego domu, a przecież to dzięki Karolowi otrzymaliśmy dwa pokoje z kuchenką w przedwojennym mieszkaniu jego wuja, Leona Kurowskiego. Ze względu na duży metraż Kurowscy musieli przyjąć współlokatorów. Na pomysł z naszą rodziną wpadł Karol, a jego wuj potrafił sprawę załatwić.

W Warszawie lubiłem Nowe Miasto, najczęściej tam umawiałem się z kolegami. Kiedyś w drodze na spotkanie wstąpiłem do baru Pod barbakanem. Wszystkie stoliki były zajęte. Przy jednym siedziała samotna kobieta. Podeszedłem i zapytałem: – Przepraszam, czy mogę przysiąść? Chciałem tylko wypić kawę.

Chyba nie zamierzała wyrazić zgody, ale zaintrygował ją mój głos, znajomy głos. Szukając właściwego skojarzenia, powoli podniosła głowę znad pisma, które przeglądała dla zabicia czasu. – Stefan? – zapytała niedowierzająco.

Patrzyliśmy na siebie bardzo zdumieni. To była Wiktoria, matka Karola.

– Oczywiście, siadaj – zaprosiła. – Czekałam na Karola. Zaskoczyłeś mnie. Zdawało mi się, że mieszkasz w Krakowie, a tymczasem ty chyba ożeniłeś się z warszawianką. Czy tak?

Pytanie o żonę poruszyło moją czułą strunę, ożywiło czas, o którym chciałem zapomnieć. Ani o śmierci Ewy, ani o przyczynach wyjazdu z Krakowa jeszcze z nikim nie rozmawiałem. Nawet wysyłając do Leszka list, wspominałem jedynie, że mieszkam w Warszawie. Czyżby teraz dla zaspokojenia zwykłej babskiej ciekawości miałem opowiadać o sobie kobiecie, której nie lubiłem?

cdn.